Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

PISMO MŁODYCH RUCHU AGUDAT HANOAR HAIWRI „AKIBA"



CEIRIM

ROK 5. TOM I.

Nr. 2.

15 grudnia 1934 Kraków-Lwów-Warszawa 9 Tewet 5695

Abonament kwartalny zł. 1. Cena Nr. 2 (okazowego) 20 gr

Emek, Emek awoda...

Wieś palestyńska.

Budujemy nowy kraj — tworzymy nowe życie. Budowę zaczniemy oczywiście od podstaw. Lecz co właściwie nazwiemy podstawą? — Rząd — powiedzą jedni. W błędzie są jednak. Najpierw musi być naród ugruntowany na swej ziemi, potem sam z siebie wyłoni rząd. A więc podstawą państwa będzie naród i to wszystko, co on tworzy. Lecz naród — cóż to za szerokie pojęcie! Naród — to urzędnicy, nauczyciele, kupcy, przemysłowcy, rzemieślnicy, rolnicy... Którąż więc z tych warstw ma być właściwym fundamentem państwa? — Kupcy — powiecie. Mylicie się! Kupiec żyje w wielkiem mieście, przenosi się z miejsca na miejsce, sprawy handlowe pchają go z miasta do miasta, z żadnem miejscem nie zwiąże się na stałe. A przytem jest tak mało twórczy!

— A więc przemysłowcy — oni przecież budują i tworzą. Ci też nie! Przemysł wiąże człowieka tylko czasowo z miejscem pracy, lecz zawsze widoki większego dobrobytu oderwą go od „stałej" placówki, i pchną w poszukiwanie nowej pracy.

— A więc kto? — Rolnik, prosty chłop, — oto fundament państwa! Całe życie pracuje na roli, z trudem wydobywa z niej chleb powszedni, własnym potem ją użyźnia, własną dłonią pługiem kieruje. Zbliża się do ziemi bezpośrednio, wciąż razem z nią przebywa — nie dziw więc, że pokocha ją, jak matkę, że zrośnie się z nią na zawsze. Wpił się w nią mocno twardemi pazurami tak, że nic go od niej nie oderwie. Po stokroć zmienić się mogą rządy, przemysł i handel przechodzić mogą z rąk do rąk, lecz ziemia — ta będzie zawsze własnością wieśniaka, co całem sercem do niej przylgnął. Podstawą państwa będą długie, w dal biegnące zagony, ciężką pracą okupiona ziemia, silna warstwa twardych rolników. To wieś.

Wieś palestyńska. Od niej to rozpoczęliśmy budowę naszego kraju. Nie będzie żydowskiej Palestyny, póki wieś będzie w obcych rękach! Nie będzie żydowskiej Palestyny, gdy obcy rolnik swym chlebem żywić będzie całe społeczeństwo. To też całą energję twórczą narodu skierowaliśmy na rolę. Rozbudować wieś żydowską! Oto nasze główne hasło. Nie szczędzimy trudu ni grosza dla wsi. Osuszamy bagna, nawadniamy suche obszary, wprowadzamy nowe urządzenia, ulepszamy systemy rolne — wszystko dla wsi.

Nie wszyscy jednak rolę wsi rozumieją. To ci, którzy dobrobytu szukają, wygody w życiu pragną — ci, kózy nie rozumieją chaluca, owego poświęcenia i nie chcą go zrozumieć. Ale dlatego też stanąć muszą nowe szeregi do nowej walki o wieś żydowską, dlatego my musimy zwiększyć liczbę gotowych.

Bo pamiętać musimy, że Palestyna będzie wówczas Erec Izrael, gdy ziemia będzie w rękach Żydów.

sg.

O chłopa żydowskiego.

(d) Wyobrażacie sobie chyba dobrze, że były czasy, gdy Żyd oznaczał to samo, co kupiec, handlarz, lichwiarz. Gdy nie istniało dla niego nic, co stało poza tem. Dla Żyda były tylko pieniądze i... cierpienie. To mu miało wystarczyć.

Dziś jest inaczej. Żyd — czy to tylko kupiec?

Spójrz na pola Erec, oglądnij sobie słońcem spalone oblicza chłopów żydowskich. Przeglądnij liczne pługi hachszar rolnych, rozsiane po całym golusie. Przekonasz się, że i Żyd potrafi być rolnikiem, twardą spracowaną dłonią spulchnić ziemię, zaorać skiby i zbierać plony.

Nowy Żyd tworzy się powoli. A właściwie — wraca tylko do swego pierwotnego wyglądu. Przybiera na się postać wieśniaka żydowskiego z przed 2000 lat. Znikają upiorne koszmary golusu, mijają niepowrotnie, jak widziadła senne. Kupiec — chłopieje.

* * *

Cud to, czy co? Kto nagle wykierował Żyda z drogi, którą utorował sobie podczas długoletniej diaspory? Jakaż to siła dała mu do ręki ciężki rydel i łopatę, kazała ziemię obrabiać?

Sjonizm dokonał tego przewrotu. On zbudził w młodem pokoleniu haskalistycznem uśpioną świadomość narodową. Młody Żyd przejrzał i zrozumiał, że życie jego nie idzie normalnym trybem, że jest nienaturalne. Nie wystarczało jednak samo stwierdzenie tego. Nie mogło wydźwignąć narodu z jego doli. Trzeba było czynu!

I przyszedł czyn.

* * *

Gdzieś na wschodzie, w dalekiej Odessie zebrała się grupa marzycieli. Głęboko w sercu tkwiła im niedola narodu. Widzieli braci swoich, trawionych gorączką pieniądza, pozbawionych wszelkich zasad etycznych i moralnych. Miasto zabiło w nich wszelkie serdeczniejsze uczucia, nic już w sercach krom interesu i chęci zysku nie mieli.

—. Powróćmy do ziemi! Do pracy, bracia! — Tak wołali ci młodzi zapaleńcy.

Trzeba było z hasłem tem pójść między lud i masy całe pozyskać dla tej myśli. Uczynił to ruch chalucowy. Szły szeregi w tysiące na błotne ugory, w codziennym wysiłku zdobywały po piędzi ziemię własną. Gdy naród, zmęczony ustawał, rzucano w ma-

sy „Kol Korej” Witkina — wskazywano na chaluca i jego niezmożoną energję. Czyn się rozpoczął.

Idealista, który był chłopem.

Warto tutaj wspomnieć o jednym z pierwszych, najczynniejszych, najgłębiej wierzących w swój ideał, — o A. D. Gordonie. Był idealistą. Ideałem jego była praca na roli, ta uświęcająca, podnosząca człowieka na wyżyny duchowe. Ukochał życie rolnika i znojną jego pracę. W niej widział zbawienie dla narodu.

„Praca na roli uzdrowi naród” — pisał w jednym z rozlicznych swych artykułów. „Praca w polu uszlachetnia człowieka” — mówi w innem miejscu.

Był chłopem. W podeszłym już wieku poszedł na rolę i pracował na niej, jak chłop z dziada pradziada. Zrósł się z nią, nierozerwalnie złączył z nią swe imię. Sam zapuścił w niej korzenie — i cały naród w niej chciał zakorzenić.

Powiedz dziś: „chłop żydowski”, a wnet skojarzy ci się z tem imię A. D. Gordona. Powiedz „rola palestyńska”, a nasunie ci się imię tego człowieka pracy. Spróbuj mówić o „pracy rąk własnych”, nie wspomniawszy jej szermierza! Nie potrafisz! Splótł się, zrósł organicznie z tą drogą, po której my dziś kroczymy, a której na imię: rola, pług, chłop i praca.



Emek, Emek awoda...

(g) Gdy wszedł między nas, zarzuciliśmy go tysiącem pytań. Pytania mijały się z odpowiedziami, gwar rósł z chwili na chwilę, a z nim nasza ciekawość, której nigdy nie możemy poskromić, ile razy przybywa do nas ktoś z Erec. Trzynaście lat temu wyjechał. Trzynaście lat — to szmat czasu! Rósł i rozwijał się równocześnie z Emekiem. O nim też opowiedział nam, przenosząc nasze myśli aż hen — do Erec.

— Sam z trudem poznaję ten nasz Emek Jezreel — mówił doskonałym palestyńskim akcentem. Wyobraźcie sobie wielki obszar ziemi, cały, jak jedno olbrzymie bagnisko. W powietrzu unosi się niezdrowa wilgoć, malarja, a śmierć czyha na każdym kroku.

Nigdzie życia, nigdzie rośliny, ni człowieka. Spustoszenie. Któż ośmieliłby się wejść w tę krainę śmierci? Uczynił to Keren Kajemet. Trzynaście lat mija, od chwili, gdy noga żydowska poraz pierwszy przestąpiła granice tej makabrycznej krainy.

Keren Kajemet wszedł w to pustkowie i rzucił głośne hasło: „Praca!" Bez wahania poszło młode pokolenie żydowskie na tę zdradziecką ziemię, by z narażeniem własnego życia osuszyć ją i wydrzeć zniszczeniu. Po kolana zanurzeni w bagnie, przekopywali rowy, któremi błoto miało odpływać. Ciężka i niebezpieczna to była praca. Niejeden z nas zdrowiem, a nawet życiem przypłacił. Tygodniami całemi trawiła nas malaryczna gorączka.

Mówi o tem swobodnie i tak lekko, jakgdyby nie jemu wcale i najbliższym towarzyszom śmierć w oczy zaglądała.

Gdy już woda odpłynęła, sadzono eukaliptusy. Prędko rosły i całą wilgoć z ziemi wypijały. Kilka lat pracy, ciągłego zmagania się z groźną naturą, kilka lat nieustannej walki i samozaparcia — i spójrzcie! Spójrzcie na tę życiem rozbrzmiewającą krainę, spójrzcie na bujną roślinność, na czerstwe oblicza, na czyste, zdrowe powietrze, na radość objawiającą się wszędzie. Trzynaście lat temu jedna tylko była kolonja — Merchawja. Oprócz tego kilkadziesiąt rodzin rozleniwionych Arabów, kilkudziesięciu czeladników niemieckich — to była cała ludność „tubylcza". — Trzynaście lat hartowania woli, trzynaście lat samozaparcia, i oto na całą Erec promieniuje siła twórcza płynąca z Emeku, całą Erec zalewa Emek swemi pierwszorzędnemi produktami, po całym kraju rozbrzmiewa turkot traktorów i silny, młodzieńczy śpiew chalucim. Śród złocistych łanów, śród kolorowych pardesów, soczystych winnic rozłożyły się długim sznurem kolonje od Jordanu, aż po Karmel. I nie ustaje już praca. Dzień każdy przynosi nowe plony, nowe odkrywa bogactwa przed naszemi oczyma. I każda grudka ziemi umiałaby nam cudowne legendy opowiadać, o tem, jak cudem przywrócono tę ziemię do życia.

Słuchaliśmy z zapartym oddechem słów naszego gościa, a ten dalej opowiadał i opowiadał.

* * *

עמק, עמק עבודה
עמק, עמק־הורה!
הורה, הורה־עמק,
עמק, עמק־הורה!

Jeden dzień pracy.

Kolonja tonęła jeszcze w półmroku.

Ciemno... cicho... głucho...

Jeszcze przed chwilą świecił księżyc, rzucając swe blade promienie na jezioro Kineret, a już z za chmur wyłoniła się zorza poranna, a za nią słońce.

Bim — bam!

Wstawać! Czas wstawać! Do pracy!

W kolonji zawrzała praca.

Czyszczono narzędzia rolnicze, przygotowywano nasiona do zasiewu, dojono krowy...

Bim — bim — bam!

Dzwonek krótki, urywany:

— Śniadanie. — L'tej'awon!

A potem wyruszyli równym w szeregu ze śpiewem młodzieńczym na wargach:

אנו עולים, אנו בונים!...

* * *

Pole było zielone. Jasno zielone. Słońce iskrzyło się djamentowemi łzami w zwierciadle porannej rosy.

Zabrali się wnet do pracy.

Jedni orali, inni siali. Wesoło pobrzękiwała stal.

Wszyscy pracowali, nawet małe dzieci, nawet osły.

Pracowali młodzi rolnicy mimo, że ręce bolały, mimo, że grzbiet ciężył boleśnie, mimo, że... „af al pi chejn!" Naprzekór wszystkiemu, właśnie naprzekór.

A nad nimi jasne południowe słońce.

Bim-bam-bim!

Głos dzwonu rozlega się donośnem echem w rozległej dolinie.

Wracajcie! Czas na odpoczynek! Smaczny obiad na was czeka.

Lecz pracującym niechce się wracać. Czuję, że gdy teraz przerwą pracę, trudno im będzie rozpocząć ją na nowo.

Obiad smakował im bardzo. Zmęczenie — to przecież świetny środek na apetyt.

A po obiedzie znów praca... Ciężka i wyczerpująca.

Czarne skiby przewalają się pod szarem żelaziwem pługa, kierowanego wprawną dłonią.

Bim-bam!

Czemu oto dzwon tak wcześnie dzwoni?

A! dziś jest piątek. Szabat kodesz la'Adonaj. Wracają z pola zmęczeni, a radośni.

באו ונקבל את שבת המלכה!

* * *

Przy kolacji cisza.

Myśli ich ulatują w krainę wspomnień.

— U nas w domu — myśli Szlomo — stół był nakryty białym obrusem, a dziesięć świec rzucało światło na starego ojca i koronkowy czepek matki. Ojciec odmawiał błogosławieństwo nad winem i rozpoczynała się uczta piątkowa.

Szlomo rzuca niespokojne spojrzenie na towarzyszy. I oni myślą o czemś odległem. Każdemu przypomina się dom, ojciec, rodzina...

Co się z nimi teraz dzieje?

Czekają pewnie na synów, córki. Od pierwszej chwili rozstania — czekają.

Nagle z piersi ich wyrywa się gromka pieśń:

לא נלך מפה!
כל אויבינו כלם ילכו מפה!
רק אנחנו – לא!
לא נלך מפה!

I śpiewają...

Słońce już zaszło. A blade promienie księżyca załamują się w marszczącej się powierzchni Kineretu. Uśmiecha się łagodnie.

Noc.

Lolek H-z (pl. „Hermon").

Deszcz! Deszcz!

Ziemia spękana pragnieniem. Suche badyle wyciągają nagie ramiona ku rozgorzałemu niebu.

W kibucu wre. Już styczeń dobiega końca, a tu jeszcze ani kropli deszczu. Susza, susza bez końca. Gorączkowo błyszczą oczy. Spozierają na zachód. Wypatrują chmur na niebie, ale, jak na złość ani jednej chmury dojrzeć nie można. Niebo czyste, niezmącone, żarem ziejące. Niema żadnej nadziei.

W kibucu ciężko... Przy kolacji wszyscy milczą, zamknięci w sobie. Głowy pochylone nad talerzami. Nikt nie kwapi się do jedzenia. Na wszystkich ciąży jedna, jedyna troska: jeszcze tydzień posuchy, a całoroczna praca pójdzie na marne. Całoroczna praca zmarnowana — toć to niepowetowana strata dla całego jiszuwu. Całoroczna praca zmarnowana — to znaczy, że kibuc nie zapłaci swego długu. Nie zapłaci długu — i potem znów cały rok pracować na pokrycie tego samego długu.

Jak można teraz myśleć o jedzeniu?

Ktoś tam przy końcu stołu ocknął się, wstał, wyszedł na pole. Po chwili wrócił — jeszcze smutniejszy.

Nietknięta stała kolacja na stole.

Z ciężkiem sercem kładli się spać.

Jeszcze wszyscy pogrążeni byli we śnie, gdy rozległ się dziki, a triumfalny okrzyk: Deszcz!!!

Wybiegli z namiotu. Z nieba szedł gęsty, siarczysty deszcz. Nozdrza z rozkoszą wchłaniały wilgoć, rozwarte usta chwytały spadające krople. A ziemia piła, piła tę życiodajną wodę. Za długie miesiące suszy. Drzewa podnosić zaczęły swe korony, trawa nabiera żywej barwy. Życie wraca.

A kibuc? I doń wróciło życie. Rozśpiewał się, roztańczył, rozebrzmiał stugłosym śpiewem, wygnał precz smutek, zabił wszystkie troski.

Życie wróciło doń wraz z deszczem.

A duże, ciężkie krople dzwoniły bezustannie w płachty namiotów.

Chlup! Chlup!

W. F.

W pardesie.

Nie słychać dzisiaj zwykłych krótkich urywanych wydechów maszyny w studni. Dziś ona zamknięta. Spadły deszcze. W naturalny już sposób otrzyma drzewo życiodajną wodę, a nie w skąpych racjach, raz na trzy tygodnie, jak to się dzieje przy sztucznem nawadnianiu. Codziennie się będzie nią upajało. I wyzywająco zwróci gładkie swe liście ku słońcu: Możesz teraz prażyć, teraz możesz chamsin nawet sprowadzić!

Bo też to jest, jak u pracującego człowieka. Gdy wody ma poddostatkiem, — nie zmoże go słońce.

Praca w „bajce" toczy się w najlepsze. „Bajka" to jednoizbowy budynek, z dużym tarasem, wysuniętym ku frontowi. Zobaczycie wkrótce, jak się zapełni złocistemi pomarańczami aż po szczyty swych licznych okien.

Bo to katif — zbiory.

Idą dziesiątki chłopców i dziewcząt, obładowanych „alunkami" (nosze z czterema otworami na kosze), uzbrojonych w nożyce i — dalej ścinać delikatne owoce!

Ale uwaga! Nie ranić owoców — bo każdego szkoda. Wybiera się najładniejsze, barwy żółto-złocistej, określonej wielkości — to na eksport! Kryją się one, jak na złość wśród gałęzi i gęstych liści i długo musisz szukać, nim je znajdziesz. A niejednokrot-

nie schylasz się i wchodzisz „w drzewo", i znów poszukujesz — i badasz.

Zapełniają się kosze. A ty ładujesz na alunkę i dalej do „bajki". A jeśliś zamłodu był skautem — to teraz łatwo się orjentujesz. Bo przecież drzewa idą w setki, a rzędy też niezawsze równe — więc żółtodzióbowi nietrudno zabłądzić. Jeśliś jednak skaut — to „wyczuwasz" i obliczasz. W tym kierunku „bajka"! — i biegniesz pomiędzy drzewa, torujesz sobie drogę wśród gęstwiny. Coś, jak u leśnych ludzi. Musisz tę pracę dziesiątki razy powtórzyć, więc odległość musi być najkrótsza.

Ciężko ci, ale idziesz, składasz swe brzemię i wracasz spowrotem. I tak przez cały dzień. W pardesie słychać tylko chrzęst nożyc i ciche szepty. Dopiero na kwiszu prowadzącym do obozu rozwiązują się języki...

I tak całą zimę. A najprzyjemniej rankiem. Gdy na drzewach jeszcze perli się rosa. Jeszcze ścinać nie wolno. Trzeba czekać, aż słońce wypije ranną rosę. Co chwilę wybiega ktoś z „bajki" i wraca: „Jeszcze nie!"

Gdy wreszcie ciepłe promienie zwyciężają rosę, zrywasz się do roboty: kosze, alunka, drabiny, nożyce i znów jak wczoraj, jak jutro — aż do końca katifu.

Szlomo.

W państwie młodzieży.

W pięknym Emeku leży maleńkie państewko dzieci. O kilka kilometrów od stacji Afule rozciąga się żyzny obszar ziemi wynoszący około 1000 dunamów, który Keren Kajemet oddał dzieciom żydowskim z Ukrainy. Bogaci Żydzi z Afryki Południowej przygarnęli pozbawione rodziców i ocalałe z pogromów dzieci i założyli małą kolonję.

Kolonja ta nosi nazwę Kfar Jeladim. A rozciąga się na wzgórzu, nazwanem Giwat Jeladim. Z punktu tego, wyniosłego na 200 m. ponad poziom morza rozciąga się cudowny widok na góry, otaczające Emek: Galil, Karmel i Efraim. Ziemia, miejscami niezbyt urodzajna, jednak sucha i dla tego zdrowa. Powietrze wolne jest od zarazków malarycznych.

Liczba obywateli tego małego państwa dochodzi do 120. Kolonja posiada oprócz budynków mieszkalnych własną szkołę i synagogę.

Na własnym gruncie uprawiają zboże, warzywa, tytoń, ponadto posiadają 7 dunamów gaju oliwnego, kilka dunamów gaju figowego i eukaliptusowego. Inwentarz żywy i martwy — bardzo bo-

gaty, a nie brak wśród licznych narzędzi rolniczych i maszyny do młócenia zboża.

Całą pracę — a jest ona, jak widzimy, dość rozległa — wykonują same dzieci pod dozorem wykwalifikowanego grona nauczycielskiego. Każde z nich, od najmłodszego do najstarszego ma przydzielony dział pracy, za który jest odpowiedzialne. I tak dozór nad pompą wodną sprawuje chłopiec piętnastoletni, stajnią zarządza samodzielnie kilkunastoletnia dziewczyna. Przy pługu, w kuchni, w magazynie, przy tuszach — wszędzie spotkasz młodych pracowników. W każdym kącie uwijają się skrzętnie, utrzymując ład i porządek. Oni wypasają też trzodę, wypiekają chleb dla kolonji — a wszystko wykonują wzorowo! Z początkiem każdego miesiąca biorą wszyscy udział przy podziale pracy. Istne samodzielne państwo.

Obok pracy fizycznej nie zaniedbuje się również i pracy umysłowej. Cztery godziny dziennie poświęca się nauce w szkole, zaś dalsze cztery — pracy w gospodarstwie. Po ośmiu godzinach sumiennej pracy zażywa „ludność" kolonji dobrze zasłużonej swobody.

Kipi w tem małem państweku od młodzieńczej radości. Wesoło w niem i gwarno.

Fredek z kwucy Kineret,
w Wieliczce.

Z wizytą w „jekew".

— Oto nasza tłocznia! — rzekł do mnie mój przewodnik, wskazując ręką na piętrowy budynek z wieżą pośrodku, błyszczący w blasku oślepiającego słońca. Zdaleka dolatywał gwar pracy. Zapach fermentującego wina niemile drażnił powonienie.

Przybyłem do Riszon Lecijon, by oglądnąć sławną na całą Erec tłocznię barona Rotszylda. Wina, wysyłane stąd, słyną swą dobrocią na całym świecie.

— Zaraz będziemy na miejscu — ciągnął dalej. — Prawda, że sprawia ona już zdaleka miłe wrażenie? Dumni jesteśmy z naszej tłoczni. Druga ona na świecie co do wielkości. Gdy ją w roku 1891 baron budował, nie przeczuwano, że kiedyś tak wielkie znaczenie będzie miała, że na cały świat rozniesie dobroć naszej „Toceret Haarec". Bo też to wyłącznie nasza praca. Żydowskie ręce ją wykonały. Od winnic Jehudy i Szaronu do piwnic Riszon Lecijon. Chociaż teraz uprawa wina cokolwiek podupadła spowodu nagłego popytu na pomarańcze palestyńskie, to jednak piwnice naszej tłoczni nie straciły swego poprzedniego znaczenia.

Zbliżyliśmy się tymczasem do budynku. Do niemiłego zapachu dołączył się syk i szum fermentującego w osobnych zbiornikach rozczynu winnego. Przed budynkiem tłoczyły się pojazdy, Auta, wozy — wszystko załadowane koszami pełnemi winogron. Wszystko razem sprawiało hałas, zdaleka już dający poznać, że tu wre praca. Niema chwilki czasu. Nie stać! Nie wstrzymywać pracy! Szybko! Sprawnie!

Przez szeroką bramę wjeżdżam wraz z całym wozem na olbrzymią wagę, gdzie ważą mnie wraz z całym naszym bagażem. Jedziemy dalej. Na rozległem podwórzu wysypuje woźnica (właściciel wozu, na którym się usadowiłem) wszystkie winogrona na przeznaczone miejsce i wracamy tą samą drogą. Znów nas ważą. W ten sposób po odliczeniu tej wagi od poprzedniej, otrzymujemy właściwą wagę samych winogron.

Przeciskam się znowu wraz z nieodstępnym towarzyszem na podworzec.

— To „jekew" — mówi przewodnik — właściwa tłocznia. O! właśnie jest przy pracy.

Rzeczywiście syk wytłaczanych winogron świadczył o tem, że tłocznia pracuje.

— A tam jest „gat" — dokończył. — Zbiornik wyciśniętego wina.

Podeszliśmy bliżej. Mętny, nieokreślonej barwy płyn fermentował w zbiorniku.

Byłem już oszołomiony hałasem panującym dokoła. Imponował mi on. — „To są ludzie pracy" — myślałem — nie ma się nawet chwilki do stracenia, a przytem tacy uprzejmi. Co więcej — to przecież Żydzi, sami Żydzi. Nie byłem przyzwyczajony do takiego widoku. Przed oczyma stał mi zawsze chudy i wylękły Żyd z małych miasteczek galicyjskich. Tam słabowita budowa ciała, nędzna dusza — a tutaj hart pracy i czynu, młodość, pulsująca wokoło.

To praca tak działa. Oczyszcza wszystko i wszystkich.



»Ceirim« robi wywiad...

Słyszeliście już pewnie o farmie, jaką zyskał nasz ruch we Wschodniej Małopolsce, niedaleko Rawy Ruskiej. Farma, poraz pierwszy w naszym ruchu — to rzecz ciekawa. A że ciekawość to perwszy stopień do... wiedzy, więc poszedłem się dowiedzieć coś o farmie.

Właśnie przebywał u nas nasz „spec" od roli, Arje B., by ostatecznie załatwić kontrakt, więc się do niego skierowałem.

— Farma? Gdy przyjedziesz do Leopoldynowa (tak się nazywa nasza farma) — opowiada chętnie nasz rolnik — zdaje ci się, że to gaj. Tyle drzew dookoła, że budynek mieszkalny i zabudowania gospodarskie giną w gęstwinie drzew. Dopiero, gdy się zbliżysz, poznajesz, żeś się omylił. Spomiędzy drzew wyglądają białe ściany budynku mieszkalnego, a przed nim kwietnik, pielęgnowany troskliwą ręką przez poprzedniego dzierżawcę. Obok zabudowania gospodarskie. Jest i stodoła, stajnia, jak zwyczajnie na wsi.

Tak opowiada Arje, a ja spoglądam tymczasem na niego. Ogorzała twarz uśmiecha się, ostre rysy twarzy wskazują na jego wiejskie pochodzenie. Typ żydowskiego chłopa, jakich wiele na wschodnich kresach Małopolski.

— Gdyśmy przyjechali — ciągnie dalej — powitano nas nie chętnie. Chłopi okoliczni z podełba patrzyli się na zagospodarywujących się „intruzów". Powiało antysemityzmem, tą specyficzną nienawiścią, którą Żyd zawsze ze sobą przynosi, gdziekolwiek przybywa. Szczególnie niedoszły właściciel folwarku nienawistnem okiem spoglądał na „żydziaków". I roszcząc sobie pretensje do farmy, zajął ją pewnego pięknego poranku. Zamieszkał w niej. Musieliśmy go wyprosić. Dopiero zaczął się ruch. „Właściciel" zwołał okolicznych chłopów i zajął folwark przemocą, obstawiając wyjście, byśmy nie mogli przywołać policji. Dopiero z pomocą jednego z przyjaznych nam chłopów zdołaliśmy usunąć skorych do bitki wieśniaków. Teraz stosunki zaczynają się układać pomyślnie. „Te Żydy — to niebyle chuchra" pomyśleli chłopi i inaczej się na nas patrzą.

Ten sobie doprawdy nie da w kaszę dmuchać — pomyślałem, patrząc na barczystą postać Arjego.

—Dookoła budynku na siedmiomorgowym oparkanionym obszarze, ciągną się zagoniki, grzędy, trawniki i sad. Ziemia jest dość licha, piaszczysta, ale dobrze nawożona, daje należyte rezultaty. Tutaj pszenica, tam znowu żyto, a gdzieniegdzie przeświecają ugory. Za parkanem, niedaleko drogi rozciągają się również nasze pola, ale są zniszczone — bo „spłonione" (to znaczy dawno nienawożone). To poprzedni właściciel już mniej się o nie troszczył i tak je oporządził. Ale można je łatwo przywrócić do należytego stanu. Trzeba tylko dołożyć starań. Ochoczo zabieramy się do ciężkiej pracy. Damy sobie z pewnością radę! No! Na dzisiaj wystarczy. Jak posuniemy się w robotach naprzód, coś wam napiszę — obiecuje mi.

—Szalom! — żegnam mojego rozmówcę i prędko zasiadam do pisania, by się z wami podzielić nabytemi wiadomościami. Czy aby czegoś nie zapomniałem? Chyba nie?

S.

Poseł śmierci.

(g) Wychodzisz w letni wieczór na przechadzkę. Idziesz brzegiem rzeki, mijasz staw lub moczary. W powietrzu unosi się bezszelestnie rój komarów i drażni cię swą natrętnością. Chcesz opędzić się od nich, a nie możesz. Kąsają cię niemiłosiernie. Niema rady na nie. Mącą urok twej przechadzki, odbierają ci humor i psują cały wieczór.

I teraz pomyśl: Te same — ale gdzietam! — stokroć liczniejsze roje komarów unoszą się nad moczarami palestyńskiemi. Te same, a jednak stokroć groźniejsze komary utrudniają życie tysiącom ludzi. Tobie psują miły wieczór — im zatruwają życie. Mały owad, a jaki niebezpieczny. Ani się spostrzeżesz, i wbije w twe ciało żądło, którem przed chwilą jeszcze pił krew chorego na malarję. Zapuścił w twe zdrowe ciało bakcyl malarji, który z zastraszającą szybkością rozmnaża się w twym organiźmie, rozpływa się po twej krwi, weżre się w każdą komórkę.

Palestyńczyk musi być ostrożny, bo zna już dobrze swych małych nieprzyjaciół. Naucz się i ty rozróżniać chorobonośne komary od zwykłych.

Wszędzie się wciśnie. Znajdziesz go w słonecznym domu, znajdziesz nad moczarami, nad czystą wodą, nad bagnem — wszędzie. A z jaką szybkością rozmnaża się! Dwuch tygodni starczy, by ze złożonego we wodzie jaja wylęgła się larwa, z niej poczwarka i wreszcie — by nowy komar wyfrunął nad wodę. Do wody już nie powraca.

Palestyńczyk wypowiedział mu walkę na śmierć i życie. I jak sobie z nim radzi? — Nie pozwala mu wcale wylęgnąć się. Wycina wszystkie zarośla na brzegach stawów i rzek, a silne słońce docierając wprost do wody, zabija swym żarem larwy komara. A ludzie chwytają się też radykalniejszych środków. Larwy nie lubią zapachu nafty. Giną odeń odrazu. Skorzystał z tego człowiek i każdą stojącą wodę w stawie, sadzawce, czy bagnie polewa naftą.

Lecz jak unikać wylęgłego już moskita? Zachować trzeba cały szereg środków ostrożności. Wszelką wodę w studniach, lub naczyniach, należy szczelnie przykrywać, okna przesłaniać gęstą siatką najlepiej metalową, nawet łóżko taką samą siatką otoczyć,

nie dopuszczać słońca do pokoju, szczególnie sypialnego, nie wychodzić z domu po zachodzie słońca... i t. d. bez końca.

Strasznie to trudno tylu przepisów się trzymać! Pocieszcie się jednak! Z wielu, bardzo wielu obszarów w Palestynie usunięto malarję bezpowrotnie. Jakiem sposobem? To proste! Sami na to odpowiecie, — pracą.

Na fali czasu.

Minął okres dwutygodniowy. Czas mija i wciąż nowe sprawy przynosi ze sobą. I tak naprzykład zaostrzył się problem

ŻYDÓW W ZAGŁĘBIU SAARY.

Jakgdyby niedość było zniszczenia i zadanego bólu... Nie wystarczy zniszczony byt tysięcy rodzin żydowskich w Niemczech. Wróg nie spoczywa.

Za miesiąc ma się odbyć w Zagłębiu Saary (sporny obszar francusko-niemiecki nad Renem) powszechne głosowanie ludności w sprawie przynależności do jednego z tych państw. To powszechne głosowanie (plebiscyt) zadecyduje również o losie 5.000-ej ludności żydowskiej, zamieszkującej gościnne dotychczas brzegi Renu. Jaki los ich czeka?

Gdyby szala zwycięstwa przechyliła się na stronę niemiecką, na co się zanosi, oznaczałoby to kompletną ruinę Żydów. Hitlerowcy niemieccy pozwoliliby sobie na wiele, według zapowiedzianych hasłami przedwyborczemi krwawych planów. Bo Żyd — to klęska narodu. Bo Żyd — to zakała kultury ludzkiej. A więc — ausrotten! Zniszczyć Żyda!

Z drżeniem oczekują Żydzi Zagłębia Saary dnia plebiscytu.

NOWY PRZYDZIAŁ CERTYFIKATÓW.

Agencja Żydowska otrzymała od rządu palestyńskiego 7.200 certyfikatów na pierwsze półrocze nowego roku (od padziernika 1934 do kwietnia 1935).

Od dłuższego już czasu Palestyna woła o robotnika żydowskiego. Brak w Palestynie rąk do pracy, ziemia czeka na orkę, winnice na nóż ogrodnika, fabryki na robotnika. Praca powoli ustaje spowodu braku sił roboczych. A robotnika niema. Mała alija nie może nastarczyć chętnych do pracy.

Możecie sobie więc wyobrazić, z jaką radością a zarazem i rozczarowaniem powita jiszuw ten nowy „szidul" (tak się nazywa przydział certyfikatów). Z radością — bo każdy certyfikat oznacza nowe siły, nowy zapał. Z rozczarowaniem — gdyż w stosunku do zapotrzebowania kraju liczba 7.000 certyfikatów (a więc około 12.000 emigrujących) jest stanowczo zamało.

Należy szeroko otworzyć bramy Palestyny — a tu się filtruje i przesiewa...

NOWE OBSZARY ZIEMI W RĘKACH ŻYDOWSKICH.

Niemniej radosną wieść przyniosły gazety żydowskie w ostatnim tygodniu z Palestyny, w sprawie nabycia przez Żydów 70.000 dunamów w dolinie Hule.

Wysoko na mapie nad jeziorem Merom rozciąga się błotnista połać ziemi, pierwsza część doliny Jordanu — Emek Hule. Obszar narazie bagnisty, po odpowiedniem odwodnieniu (drenażu) bagna zamienią się w urodzajne pola, a żydowska Palestyna zyska nowe niezwykle urodzajne obszary rolne. Obok Emek Jezreel było Hule zawsze najurodzajniejszą częścią kraju. Już Tnach wspomina o urodzajności Hule. Zawsze uprawiane, tętniące życiem, z biegiem wieków straciło na znaczeniu i niezmiernie podupadło. Stojące ugorem pola zamieniły się w niebezpieczne moczary, zaś ziemię niezajętą przez bagno objęły w posiadanie szczepy Beduinów.

Ręce robotnika żydowskiego zamienią Emek Hule znowu na kraj „mlekiem i miodem płynący".

Kilka tysięcy rodzin żydowskich znajdzie tutaj pomieszczenie. Żydowski jiszuw rolniczy zwiększy się znowu.

Nowych robotników trzeba, nowych sił...

Poznajmy się!

Mówił już o tem ostatni okólnik Sekretarjatu Naczelnego, mówił o potrzebie stworzenia silnego łącznika między trzecim gdudem naszego ruchu. No, tak jest w istocie. Geograficznie jesteśmy od siebie nieraz bardzo oddaleni i mijają długie miesiące, podczas których niema między nami żadnego kontaktu. Aż oto znalazł się stały łącznik — „Ceirim". Co dwa tygodnie wszyscy ceirim naszego ruchu czytać będą te same słowa, poznawać te same myśli. I wszyscy będą sobie bliscy.

Lecz czasem odczuwa się potrzebę bezpośredniego zbliżenia. Wtedy — piszemy listy. Chcemy się bowiem poznać tak bezpośrednio — imiennie. Piszemy wtedy o sobie, o swej codziennej pracy, o przeżyciach plutonu, kwucy o planach na przyszłość.

A my Wam proponujemy: skierowujcie wszystkie swe listy do redakcji. Jeśli „Ceirim" ma być naszym łącznikiem, niech stanie się równocześnie łącznikiem p o c z t o w y m. Niechaj list wysłany z gdudu III w Równem, bedzie czytany aż po Katowice, niech z Katowic leci odpowiedź poprzez Łódź, Warszawę i Wilno. A piszmy swobodnie i szczerze! O wszystkiem...

Poznajmy się! Pod nazwą tą otwieramy nową kolumnę w naszem piśmie. W kolumnie tej znajdziecie wszystkie swe listy i odpowiedzi na nie.

Oczekujemy Waszych listów!

Poznajmy się! Oto nasze hasło.

WSZYSTKIM I NIKOMU

SZALOM!

„Ceirim", pismo naszego gdudu ułatwia nam na swoich łamach korespondencję z nieznanymi nam narazie braćmi, a więc korzystamy z okazji i piszemy do wszystkich kwuc razem za jednym zamachem... pióra. Chcemy bowiem poznać Was bliżej.

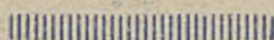
Najpierw kilka słów o nas samych. Gniazdo nasze jest dość liczne, gdyż dochodzi do 1000 zorganizowanej młodzieży. Małą cząstką tego dużego społeczeństwa, połączonego jedną myślą i wolą jest pluton „Szaron", a wraz z nim i my, czyli kwuca „Tel-Awiw".

Mamy zamiar opisać Wam nasze życie. Jak się to dzieje na tej naszej kwucy i co robimy. To przecież zainteresuje pewnie wszystkich.

Jesteśmy sporą gromadką, dość znaną w naszem gnieździe. (Akiba I), jako dobrany zespół urwipołciów i urwisów skorych, jak się to mówi, do „bitki i wypitki". Pomylilibyście się jednak, gdybyście sądzili, że to jedyne nasze zajęcie. Nie. Pracować też potrafimy. Każdej soboty mamy zbiórki kwucy, a w tygodniu kursa hebrajskie, na których czytamy książki hebrajskie. W związku z tem musimy wspomnieć, że mamy już za sobą pierwszą próbę skautową i hebrajską, a wnet i drugą próbę skautową z pomocą „ludzką i Bożą" przebrniemy. Co miesiąc urządza inna kwuca małe święto dla plutonu: Oneg Szabat. Onegi są poświęcone tradycji żydowskiej i literaturze hebrajskiej. Czekamy na nie zawsze z niecierpliwością. Bo też zawsze jest niespodzianka. Ta kwuca przygotowuje sztuczkę, inna deklamację, trzecia wreszcie „żywy dziennik"... Czasem bawimy się, czasem jesteśmy poważni... i tak się nasze życie toczy.

Teraz na Was, nieznani, kolej, byście opisali nam Wasze życie organizacyjne tą samą drogą, co i my.

Z powtórnem „Szalom"
kwuca „Tel-Awiw" z plugi „Szaron"
Kraków.



Szalom! Przychodzimy do Was z drugim numerem. Może i ten jeszcze niedoskonały, ale narazie nie możemy „Ceirim" wydawać w formie doskonałej, bowiem od Ciebie, brachu, to zależy, czy „technicznie" się będzie rozwijał (zwiększy objętość, nakład, gatunek papieru itp.)! Od Twojego wysiłku. Werbuj abonentów, współpracuj, a wówczas pomówimy o rozwoju. A więc do pracy!

REDAKCJA.

Drukarnia Pospieszna pod zarz. A. Lehrhafta, Kraków, Pl. Dominikański 1
Wydawca: Związek Skautowej Młodzieży Żydowskiej w Krakowie.
Redaktor odpowiedzialny Ignacy Nichthauser.